

Zabito 159 maskotek mistrzostw świata

Sapałem jak astmatyk. Było z minus 15 stopni, ciemno i śnieg na spadzistym stoku powyżej kolan. Aż tak bardzo by to nie przeszkadzało, gdyby nie struktura tego śniegu. Był nie do zniesienia, sypał się jak piasek, nie dało się o niego oprzeć i ciągle musiałem się z niego wygrzebywać. Ponadto mój tobolek nie pomagał i często musiałem go pracochłannie wydobywać ze śniegu. Pagórek, na który normalnie wszedłbym w ciągu godziny, pokonywałem już ponad trzy, a byłem ledwo za połową. A nadszedł już czas, aby się gdzieś ulokować. Ale wciąż byłem na stoku i potrzebowałem przynajmniej dwóch metrów płaskiego terenu. Stałem, sapałem i sapałem. Przede mną kłębiła się para z ust. Trwało trochę zanim odpocząłem i mogłem podnieść głowę, aby rozluźnić szyję.

Koloru węgielków oczu już dokładnie nie pamiętam, ale wydaje się, że były zielone. Tak, tych kilka par węgli przede mną było zielonych. Węgielki nie wisiały w powietrzu ot tak. Węgielki tkwiły w jakichś głowach, a te głowy były wilcze. Stały i patrzyły na dyszącego cudaka, który wdrapywał się na górę. W czołówce zaczęły wyczerpywać się baterie i światło pomału słabło, wilki znikaly, aż zostały już tylko te węgielki. Zastanawiałem się, czy zejść na dół, żeby je ominąć. Ale potem musiałbym iść na górę. Bokiem przejść się nie dało. Najrozsądniej było iść do góry. Między wilki.

Czołgałem się w śniegowym piasku do góry. Węgielki stały. Bateria słabła, już tylko migotała. Pośród świecących oczu wilków kompletnie straciłem rozeznanie. Gdy po chwili wyszedłem na małą równinę, znalazłem miejsce dobrze odsunięte od śniegu, skąd wcześniej obserwowała mnie wataha wilków. Tego potrzebowałem. Miałem swoje dwa metry kwadratowe do spania.

Poranek był cichy, mroźny i słoneczny. Mocny niebieski w połączeniu z mocną bielą na grzbiecie nie jest niczym nowym dla moich oczu, więc wolałem poleżeć na tych dwóch metrach kwadratowych, które zdobyłem od wilków. Takie leżenie to najlepszy sposób, aby sfotografować dzikie zwierzęta w ich naturalnym środowisku. Ten dzień nie był całkiem zwyczajny. Cichy, mroźny, słoneczny i dziwny. Nie było żadnego jelenie ani dzika, ani jedna wataha nie chciała mi się pokazać. Nawet skoczogonka na śniegu, ani wiewiórki czy ryjówki.

Biała cisza.

I tak w trakcie tego białego nudnego dnia zasnąłem.

„Auuuuuuuuuuuuuuuuuuuu...”.

Poderwałem się. Biało-niebieski dzień zniknął, nade mną był Orion z Syriuszem i gdzieś na prawo, dość blisko, zawyły wilki. Dzień później po tropach stwierdziłem, że w ciemności przyszły mnie zobaczyć i kiedy stwierdziły, że ich wspaniałe miejsce jest wciąż zajęte, usunęły się na bok i, chyba z żalu, zawyły.



Wilki. Fot. Juraj Lukáč

Później kilka razy o tej przepychance o miejsce do spania z wilkami wspominałem podczas spotkań z fachowcami od wychowywania wilków, którzy w swoim świętym przekonaniu, nasiąknięci wiedzą z rosyjskich baśni i powieści Jacka Londona, rzucali z rękawa krwawe historie jedna za drugą.

Odłączeni od przyrody, odłączeni przez dziesiątki kanałów telewizyjnych, żyjący w wirtualnym świecie, zapomnieliśmy o prawdziwych zwierzętach, zapomnieliśmy o wilku jako naszym

legendarnym zwierzęciu i staliśmy się fachowcami od wszystkiego. Wiemy wszystko, bo wszystko da się wygooglować – Internet doradzi nam w związkach, leczeniu, polityce czy sporcie. Ale wirtualna krew, którą przedstawiają Google i prawdziwa, czerwona krew, to jednak różnica.

Uśmiechający się, miły, optymistyczny wilczek jako maskotka mistrzostw świata w hokeju na lodzie, jest wirtualnym powrotem do wilka jako symbolu prastarych Słowian. Ale wczorajsza biała koperta z Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi jest okrutnie realistyczna. Ostatniej zimy, my – kibice hokeja na Słowacji, zabiliśmy realnie 159 maskotek mistrzostw świata w Bratysławie.

Wszystko wiemy, wszystko potrafimy wygooglować, ale czegoś nam jednak brakuje.

Co to jest?

Juraj Lukáč

Tłumaczenie: Anna Patejuk

Tekst pochodzi z internetowego bloga, który autor prowadzi pod adresem jurajlukac.blog.sme.sk na zaproszenie słowackiego dziennika „SME” (sme.sk). Przedruk za zgodą redakcji „SME”.